Dnia 16 lutego. № 13 roku 1838

ROZMAITOŚCI Warszawskie.

TAK I NIE.

Powieść przez barona Mortemart.

(Z Francuzkiego).

W południowej Francyi, w tym kraju, gdzie radość rodzin i zabawy wieśniaków, przypominają jeszcze czasy dobrego króla Reni, najwykwintniejsza osada była zamieszkaną przez pana Beaumanoir, byłego pułkownika, dwóch jego synów i prześliczną córkę, ubóstwianą od wymienionych trzech osób.

Skromne i łagodne to dziecię było, budowy delikatnej i słabej, podobnej do aniołów, o których poeci marzą. Rafael byłby ją wybrał za jedną z dziewic pędzlem swoim niebu zabranych; Corregio byłby ją chciał ujrzeć w snach swoich; Carlo Dola byłby na klęczkach błagał o pozwolenie kopiowania jej zachwycającej głowy, a Wacław byłby ją umieścił w swoim najpiękniejszym obrazie.

Każde spojrzenie Zofii, każde poruszenie, miało powab tylko jej właściwy, a cała jej osoba harmonijną, trudną do opisania, niepodobną do rozbioru całość. Nie trzeba rozumieć, iż Zofia była jedną z tych słabych kobiet Paryża, które się wydają jak kwiaty rozkwitłe światłem salonów wielkiego świata; nie; Zofia była dzieckiem pogodnego nieba, równającego się niebu Włoch, powietrza czystego, jak powietrze gór i wyższej atmosfery. Łączyła w sobie przymioty serca i rozumu. Dziewiętnaście lat licząc mieszkała prawie zawsze w pięknych dobrach swego ojca, Zofia nieprzyjęła zalotności wielkich miast, która niszczy wyobraźnią i psuje krew. Nie miała tej zimnej rozwagi i rachuby, która jest skutkiem materyalnych stósunków świata. Nie wynosiła się z rozumem ani lepszych zasad religii nad innych, nie mniemała że jej służy prawo zajmowania się wyłącznie swoją osobą, jakto sądzą egoiści, którzy nieuczynnością chcą zastąpić cnotę. — Byłato naturalna dziewczyna, zasady arystokratyczne zamykały duszę kochającą i czystą.

Z końcem jesieni bywała zamyśloną i smutną. Spoglądała na zwiędłe i woni pozbawione kwiatki. Pączki nikły bez rozkwitania; drzewa niemiały zieloności; niebo nieogrzewało, a cała ziemia była bez życia. — Zofia niewiedząc dla czego wzdychała, błagała Boga o opiekuna, niespostrzegając się, iż ich miała trzech. Jej modlitwa była wówczas goretszą, więcej pocieszającą, bo modlitwa jest nadzieją, a nadzieja jest prawie wiarą.

Niedaleko pana de Beaumanoir, mieszkała pani Maisoncelle. Byłato wdowa po kapitanie okrętowym, który jej zostawił znaczny majątek i skarb nieoceniony; majątkiem było 12cie tysięcy franków rocznego dochodu a skarbem syn jej jedyny. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, zamykała się dla niej w zaciszu.

Juliusz Maisoncelle posiadał wyższe ukształcenie, dobre ułożenia, co nie jest powszechnem w Prowancyi i szlachetne zasady, jeszcze rzadsze. Jego wady, niestety! któż od nich jest wolnym! były mięszaniną zazdrości i zarozumiałości. Dusza była doskonałą, miał tylko surowy charakter, który po-

tę dze rozwagi rzadko ustępował, mniemał on bowiem, iż to byłoby słabością; ale szedł zawsze za radą swego serca, gdyż ono było pojedynczym jego przewodnikiem.

Pani de Maisoncelle, widziała z boleścią, iż syn jej od niejakiego czasu często oddalał się do Marsylii. Mimo dwudziestu dwóch lat, Juliusz doskonalił się w sztuce malarstwa i dowodził, iż tylko w mieście talentowi może się oddawać. Ale niemalowano wieczorem, a Juliusz czasem powracał bardzo późno.

Stosunki z domem Beaumanoir," które dawniej były bardzo bliskie, nagle ustały. Biedna matka niewiedziała co myśléć. Następująca okoliczność była dla niej tajemnicą.

Na ostatnim balu u pana de Beaumanoir, tańczono w parku, a w myśl dawnego zwyczaju, każdy przybrał się w ubiór wieśniaczy elegancki. Po kilku kontredansach, Zofia usiadła na ustroniu w ulubionem miejscu, gdzie Juliusz przy jej boku tyle słodkich chwil przepędził, i teraz właśnie zamyślał przysunąć się do niej. Oboje kochali się czule, chociaż sobie tego niepowiedzieli nigdy jeszcze. Fatalny wypadek zrządził, iż hrabia Grimaldi dawny znajomy ojca Zofii, zajął miejsce przy niej na ławce i nudził ją nieznośnemi oświadczeniami swojej miłości; Zofia chcąc go od siebie oddalić, rzekła do niego:

Hrabia niechcesz tańczyć? —

Z Panią, natychmiast, jeżeli sobie tego życzysz piękna Zofio.

Biedne dziecko widząc nadchodzącego Juliusza, którego obecności pragnęła i chcąc się uwolnić od natrętnika, odpowiedziała mu, zbliżając się do Juliusza, przepraszam pana, gdyż już jestem zamówioną.

Juliusz zdziwiony, bo niemógł sobie wytłumaczyć tych ostatnich słów, wziąwszy Zofią za rękę rzekł do niej głosem niepewnym: »czyto zemną?«

Zdrajczyni, zamruczał ze wzgardą Grimaldi.

Juliusz zaprowadził Zofią do koła tańczących, lecz całe w niej utracił zaufanie, a wkrótce i spokojność, bo słyszał ostatnie słowo Grimaldi. Powtarzał je ustawicznie w myśli, niemógł bowiem przypuścić, aby można nadać damie podobny przydomek, niemając do tego prawa.

Od owego czasu, już niewidziano Juliusza w domu pana Beaumanoir, i ten był powód jego podróży do Marsylii. — Namiętność, która długo serce zajmowała, musi być inną zastąpiona, bo trzeba zadurzyć sobie głowę, trzeba zająć myśl i duszę. Juliusz zrobił się graczem! przegrywa często i znacznie, powraca zawsze nieukontentowany i smutny, bo gry nielubi. Matka każe go śledzić, dowiaduje się nakoniec o jego nowej namiętności. Zdawało się jej, że niema chwili do stracenia, że należy zniszczyć złe w jego zawiązku, odwrócić Juliusza od tej przepaści, a zatem trzeba go ożenić. Od dawna spostrzegała jego przywiązanie do Zofii i najgorętsze życzenie ją ogarnęło, aby ozdobić swój dom tym pięknym i czystym kwiatem. Była równość majątku i stanu między temi dwiema rodzinami, równie jak i zgodność charakterów. — Czegóż więcej mogła pragnąć? — Nie tracąc więc czasu, tego samego wieczora pojechała prosić o rękę Zofii dla Juliusza.

Pan de Beaumanoir i synowie jego uszczęśliwieni byli z spełnienia nadziei, którą się już od niejakiego czasu cieszyć przestali. Zofia, upojona radością, niewiedziała co czynić z ukontentowania, mniemając, że pani Maisoncelle za zezwoleniem syna o jej rękę prosi.

Ślub odłożono na czas bardzo krótki i biedna matka powróciła uszczęśliwiona do domu.

Każda rzecz, niestety!—ma swoją stósowną chwilę. — Pośpiech pani Maisoncelle nieumiał takowej wybrać. Zamiast na nią oczekiwać, uniesiona radością matka, natychmiast synowi swemu oznajmuje jego szczęście. Ten właśnie tylko co powrócił z Marsylii, dużo przegrawszy był zamyślony i smutny, zaślepiona matka nie spostrzega tego, niemyśli tylko o jego ślubie i ściskając syna rzecze: ciesz się Juliuszu, będziesz miał najlepszą i najrozsądniejszą żonę z całej Prowancyi.

Co chcesz powiedzieć, matko, odrzekł z niecierpliwością Juliusz.

Że w przyszłą niedzielę podpiszemy akt ślubny i że we wtorek będziesz szczęśliwym mężem Zofii de Beaumanoir.

Jakto! nie prosiwszy o jej rękę? — odgadł Juliusz zmarszczywszy czoło.

Ja wszystko za ciebie zrobiłam, moje drogie dziecko, pozostaje ci tylko przy ołtarzu wyrzec *tak*.

A ja przysięgam, że powiem *Nie* i natychmiast zamknął ją w swoim pokoju.

Błąd nie do sprostowania, rzecz była ukończoną, nieszczęśliwa matka osłupiała z boleści.

Nazajutrz nie rzekła ani słowa do syna o tem wszystkiem co się stało, starała się go rowesélić, obsypywała go pieszczotami, spodziewając się, że zapomni o tem co mogło być tylko skutkiem nierozwagi, wszakże uczyniła wszelkie usiłowania, aby mu nie zostawić czasu namyślenia się.

Nadszedł wtorek, matka się poleciła Bogu i odjechała z synem, on nie powiedział, nie podpiszę aktu ślubnego i, podpiszę takowy; nie powiedział, nie pojadę do kościoła, z chęcią nawet to czynić się zdawał. — Matka sądząc, że odniosła zwycięztwo nad uporem syna, całując go zalewała się łzami i myślała, że wszystko było skończone.

Powozy zajechały przed kościół, którego szanowny proboszcz był wujem pana Beaumanoir.

Obrząd ślubny się rozpoczął, narzeczona i narzeczony klęczeli przed ołtarzem, sędziwy pasterz rzecze do Zofii: moje dziecko, czy przyjmujesz za małżonka Juliusza de Maisoncelle? — Zofia:

Tak. Odpowiada drżąc z radości. — A ty Juliuszu de Maisoncelle, czy przyjmujesz za małżonkę, Zofią de Beaumanoir.

»*Nie*« odpowiedział młodzieniec głosem pewnym. Tak jak chorzy, którzy pozbawieni na pozór czucia, a wszakże wszystkie ich siły się zebrały na najokropniejsze cierpienie, tak Zofia osłupiała z boleści stała nieporuszoną na miejscu.

Pani de Maisoncelle, krzyknąwszy przeraźliwie, pada bez zmysłów, wzgarda maluje się na twarzach ojca i braci, którzy zostali dotknięci, w tem, co mieli najdroższego.

Xiądz jeden zachowuje przytomność umysłu i rozsądek, którego to miejsce i obecna chwila koniecznie wymagają. — Niespodziana mu zaświtała nadzieja. Zemsta zastąpi najczulsze przywiązanie krew jego przybranych dzieci będzie się łączyć. Trzeba wszystko przewidzieć, trzeba temu zapobiedz, a jednakże trzeba głośnego zadość uczynienia. — Użył więc przewagi, którą dobry pasterz wywiera zawsze na umysłach wzniosłych i pobożnych i oświadczył obu rodzinom, iż mają usunąć się do zakrystyi. — Pani de Maisoncelle udała się do niej jak prawdziwa ofiara, syn jej towarzyszył z widocznem wzruszeniem.

Jedno słowo powiedziane przez xiędza panu Beaumanoir, było dostatecznem. Natychmiast ten ostatni nakazuje synom swoim spokojność i tak mówić zaczyna: »Pani Maisoncelle, nie czułeś całego ogromu błędu, jaki popełniłeś; zniewagę, którą okazałeś córce mojej i mojej rodzinie, należałoby krwią zmazać, lecz sługa Boży, który was miał połączyć, osądził, iż inaczej rzecz obrócić należy. Potém dodając z uniesieniem: poraz drugi staniesz pan przed ołtarzem, wszyscy będziemy temu przytomni; proboszcz zapytanie od niego zacznie; powiesz pan *Tak*, córka moja odpowie *Nie* i honor mojej rodziny zostanie bez zmazy.

Najgłębsze milczenie nastąpiło po tej przemowie. Biegły badacz wszakże byłby spostrzegł Juliusza spoglądającego z rozpaczą na Zofią, która wśród łez, zdawała się z spokojnością mu odpowiadać: twoje fałszywe domysły zabijają mnie.

Weszły powtórnie z smutkiem wyrytym na twarzach do miejsca Sgo te same osoby, które przed chwilą uszczęśliwione w niem się zgromadziły. — Obrząd się rozpoczął, — panie Maisoncelle, czy chcesz pojąć za małżonkę pannę Zofią Beaumanoir? *Tak* odpowiedział Juliusz głosem pewnym, obracając się ku Zofii, i łzami zalany spoglądając na nią.

Następnie proboszcz, z postawą pełną godności, zapytał Zofii. Czy przyjmujesz za małżonka, Zofio Beaumanoir, Juliusza Maisoncelle.

Tak, *tak*, rzecze z płaczem rzewnem Zofia.

Biedna kobieta! — Niebyło to w skutku zmieszania; ona, niechciała zadosyć uczynienia. Ona swój honor, swoją przyszłość, swoje życie oddawała Juliuszowi. Ale jakże ona go kochała! — Ten zapomniawszy w jakiem miejscu się znajduje, upadł jej do nóg wołając: *Tak*, Zofio, *tak*, na całe życie, aż do śmierci.

CYGANY.

(Dokończenie).

ZEMFIRA.

Mój przyjacielu, czy nie żałujesz
Tego, coś rzucił na wieki?

ALEKO.

Cóżem porzucił?

ZEMFIRA.

Ty mnie pojmujesz:
Zamków, i miasta, i kraj daleki.

ALEKO.

Czego żałować? o, gdybyś znała,
O, gdybyś sobie wyobrażała
Jaka miast dusznych niewola!
Tam ludzie tłumni, w murach krużganku,
Nie oddychają chłodem poranku,
Ani wiosennym zapachem pola;
Wstyd ich miłości, zdrada do koła,
Wola przedajna, myśl twą ścigają,
Przed bałwanami chyląc swe czoła
Żądają złota, cierpień żądają.
Cóżem porzucił? Wzburzenie, zdrady
I uprzedzenia, zdanie nieprawe,
I nierozsądny ucisk gromady
Lub lśniącą blaskiem niesławę.

ZEMFIRA.

Lecz tam pałace za to okazałe,
Tam różnobarwne pokrycia,
Tamto zabawy, huczne biesiady,
Ubiory dziewcząt tam tak wspaniałe!

ALEKO.

Cóż szum uciechy miejskiego życia?
Niema miłości: niema wesela,
Dziewico... milszaś w sukniach ubogich,
I bez klejnotów, bez ozdób drogich;
Bez pereł, bez blasku wiela!
Niezmień się droga! twe serce młode!
A ja.... jedyne moje żądanie
Podzielać z tobą miłość, swobodę
I dobrowolne wygnanie.

STARZEC.

Tyś nas polubił — lubisz nas siła,
Chociaż w bogatym zrodzon narodzie;
Ale niezawsze swoboda miła
Temu, co nawykł istnieć w wygodzie.
Jest między nami jedno podanie:
Człowiek z południa; jak bywa nieraz,
Władzca go przysłał tu na wygnanie.
(Znałem ja dawniej, niepomnę teraz
Jakie dziwaczne jego nazwanie),
Był dobrze w latach, starzec sędziwy,
Duszą łagodną żywy i młody:
Jakże do piosnek miał dar prawdziwy
I głos podobny do szumu wody.
I każdy w naszym lubił go kraju,
I żył na brzegach Dunaju,
Nikomu żadnej nie robiąc szkody,
Ludzi powieścią przyciągać umiał.
Nic nieznał, nic nierozumiał,
Słaby, lękliwy jak małe dzieci;
Innych go ludzi strzegła opieka:
Zwierzęta, ryby łowili w sieci;
A kiedy bystra marzła już rzeka,
I ostre wichry z szumem huczały,
W miękkie kożuchy tulił się cały.
Oni świętego odziewali człeka;
Ale do życia biednego i trudów
Nawyknąć nigdy niezdołał;
Błąkał się wyschły, zbladły śród nudów,
Zawsze się żaląc, nieszczesny wołał,
Że za przestępstwo Bog go karze gniewny,
I uwolnienia wyglądał niepewny.
Wciąż tęsknił, smutne tłumił westchnienie,
Błądząc po brzegach Dunaju,
Wylewał gorzkie łzy na wspomnienie,
Dalekich zamków swojego kraju.
Prosił, ostatnie wydając tchnienie,
Żeby w zachodnie dziedziny
Przenieśli teskne kosci wygnańcy,
I śmiercią — obcej jemu krainy
Nieutuleni w żalu mieszkańcy.

ALEKO.

Tak, o to los twoich synów,
O Rzymie, o mocarstwo głośne!
Spiewaku bogów, miłości, wawrzynów,
Powiedz co sława? dźwięk mogiły zimnej,
Pochwały echo donośne,
Z plemion w plemiona wieść powtarzana?
Czylić pod cieniem lepianki dymnej,
Powieść dzikiego cygana?
